Nr. 44. We Lwowie dnia 30. Października 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

3)

Obecny stan badań

nad genezą państwa polskiego.

(Dokończenie.)

Przeciwnicy teorji najazdu odrzucają także pogląd prof. Piekosińskiego, jakoby cała ziemia polska była za pierwszych Piastów własnością książęcą. Jestto jednak kwestja, której odrzucenie nie jest ani koniecznym warunkiem krytyki całej teorji najazdu, ani też naodwrót — nie stanowi dla pofesora P. integralnej części jego ogólnych zapatrywań na genezę państwa polskiego. Najazd mógł wprawdzie, ale wcale nie musiał przelać własności zdobytych obszarów ziemi na książąt; przeciwnie mógł ją oddać w posiadanie rodów rycerskich i na odwrót także — nic nie przeszkadza, ażeby — samodzielna ewolucja państwa polskiego nie mogła była przejść przez etap władania bezpośredniego polską ziemią przez polskich książąt. Ja np., badając obecnie samodzielnie stosunki społeczne Polski pierwotnej, dochodzę coraz silniej do przeświadczenia, że — jakkolwiek teorji najazdu przyjąć się dzisiaj nie da, to jednakże gros posiadłości kościelnych i szlacheckich powstało tylko drogą nadań dóbr ongiś książęcych. Czy początku tych nadań należy szukać za czasów Krzywoustego — wątpię; sądzę, że rozwijały się one powoli już od wygnania Bolesława „Szczodrego" i to pod wpływem bardzo różnorodnych — tak czysto gospodarczych, jak i politycznych czynników. Wspomniałem już także, że teorję samodzielnej genezy państwa polskiego nazwałem już dawniej teorją „odporu i najazdów międzyplemiennych". Dlaczego „odporu" — wynika jasno z dzieł prof. Małeckiego, który odpór przed najezdcami niemieckimi sam uważa za najdzielniejszy środek, który zmusił ludność ziem polskich do skonsolidowania się w jedno państwo. Ważniejszą jednak jeszcze dla mnie jest nazwa teorji „najazdów międzyplemiennych". Prof. Balzer w krytyce poglądów prof. Piekosińskiego na stan społeczno prawny chłopów w pierwotnej Polsce — podniósł po raz pierwszy i zdaniem mojem zupełnie racjonalnie — analogję, nasuwającą się mimowolnie przed oczy historyka — w genezie państwa polskiego i — nie, jak sądzi prof. P. — ruskiego, ale przeciwnie — czeskiego. Państwo czeskie zaś powstało nie pod naciskiem najazdów z zagranicy, ale przeciwnie — skutkiem walk domowych między plemionami słowiańskiemi, zamieszkującemi dzisiejsze Czechy. Jedno mianowicie z tych plemion, Czesi koło Pragi — osiągnęło w walkach tych hegemonję nad sąsiadami, pod dowództwem książąt z rodu Przemysłowców i w ten sposób położyło pierwsze podwaliny, na których wzniosła się budowa późniejszego królestwa czeskiego.

Wiemy — na podstawie najpewniejszych źródeł, że także w Polsce piastowskiej istniały długi czas silne różnice plemienne, pochodzące bezwarunkowo z epoki jeszcze przedpiastowskiej, kiedyto późniejsze państwo polskie — przedstawiało się jako szereg sąsiadujących z sobą samodzielnych plemion słowiańskich, rządzących się ustrojem komunistyczno-rodowym. — Znamy nawet dokładnie nazwy tych plemion, jako to: Pomorzanie, Mazowszanie, Kujawianie, Łęczycanie, Sieradzanie, Ślęzanie, Wiślanie, i wreszcie koło Gniezna — Polanie. Ci ostatni narzucili innym plemionom swoją nazwę plemienną i swój ród książęcy — Piastów, to też wszystko przemawia za tem, że odegrali oni w wytworzeniu się państwa polskiego identyczną rolę, jak Czesi pod Przemysłowcami w Czechach. Wiele światła na czas polskich walk

międzyplemiennych rzuca rozprawa Dr. Potkańskiego o Krakowie przed Piastami. Jestto bardzo ściśle napisana monografja prehistorycznego — polskiego plemienia Wiślan, które podlegało pewien czas Morawcom i Czechom i uległo orężowi polańskich (polskich) Piastów dopiero za czasów Chrobrego. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że hegemonja Polan (i Piastów) nad innemi także plemionami Słowian nadwiślańskich rozszerzała się powoli — stopniowo i dopiero wówczas ustaliła się i wytworzyła „państwo“. kiedy wskutek wojen międzyplemiennych wyłoniła się odrębna kasta rycerska, zgrupowana obok książąt, a ci ostatni doszli do absolutnej, wojskowej władzy centralnej — przez zabór wszystkich obszarów zdobytej ziemi na własność rodu książęcego. Że chłopi wskutek takiej przemiany społecznej musieli popaść w poddaństwo książęce — okazuje się rzeczą całkiem naturalną i konieczną poniekąd; nie mniej też sądzę — możemy bez wahania — nazwać teorję samodzielnego wyłonienia się państwa polskiego — teorją „zaborów — względnie wojen lub najazdów — międzyplemiennych“.

Dr. K. J. Gorzycki.

Trzy systemata polityczne.

(Mikołaj I., Aleksander II., Aleksander III.)

N. Flerowskij.

Zajmująca ta książka, która niedawno w Berlinie wydaną została, jest utworem Rosjanina, silnie, z pewnym fanatyzmem naród swój kochającego. Traktuje ona o polityce wewnętrznej kraju i bardziej o jej wpływach na stosunki społeczne, ekonomiczne, w dziedzinie ogólnej moralności i oświaty, niż o rozwoju ustawodawstwa, wojskowości, przemysłu, szkół i t. d. Ramy urzędowe pozostają nieco w stronie, wchodzimy w bieg życia, wywołanego naciskiem tych ram.

W długim szeregu licznie nagromadzonych faktów wykazuje autor, że wszystkie trzy systemata: Mikołajewski — bezwzględny, jawny, zupełnie szczery i konserwatywny; Aleksandra II. chwiejny i błyszczący szychem liberalnych tendencji, a w gruncie rzeczy obdzierający lud z mienia i światła: wreszcie Aleksandra III., będący już tylko ślepą namiętną walką z odradzającą się wciąż hydrą rewolucji — dążyły do jednego celu: poniżenia Rosji, zepchnięcia jej na poziom jak najniższej moralności i oświaty, i zajadłego tępienia w tym celu wszelkich, chociażby pojedyńczych nawet objawów szlachetniejszych dążeń. Wszyscy wielcy ludzi Rosjie w ciągu trzech ostatnich panowań kończyli na Syberji lub w więzieniach, umierali ze zgryzot lub dostawali pomieszania zmysłów. Rosja ugięta, Rosja zdeptana, Rosja zdemoralizowana i w nędzę rzucona, rozwija się w strasznych obrazach pod panowaniem trzech ostatnich despotów. Autor wszakże pomija milczeniem ten fakt — w żadnym razie za „okoliczność łagodzącą“ uchodzić nie mogący — iż systemata te rozwinęły jedynie wszystko to, co kwitło już za przeszłych panowań; źródła dalej szukać należy.

Ciekawą jest historja samego autora, wplatająca się w obrazy dziejów jego kraju. Z uczonego jurysty, urzędnika cesarskiego, najprawomyślniejszych tendencji, na skutek robót u „podstaw“ przeistacza się stopniowo w oburzonego w swem sumieniu urzędnika, w protestującego w imię sprawiedliwości obywatela, w szermierza-propagandzistę nowej nauki, aż staje wobec prawdy, iż dla jego narodu niema innej drogi nad rewolucję. Podczas długoletnich swych wygnań, przerzucany z miejsca na miejsce na ogromnych przestrzeniach, spożytkował swoją tułaczkę na szerzenie propagandy uświadamiającej lud o przyczynach rozpacznego jego położenia. Flerowskij bowiem jest przekonania, iż nigdzie lud nie pozostaje w takiej nędzy, jak w Rosji. „Przekonałem się, iż Rosja jest krajem epidemicznego pauperyzmu“ — orzeka, a słowa te posiadają rzetelną wagę, bo Flerowskij jest autorem kapitalnego dzieła: „Położenje raboczawo kłasa“. Owczesna inteligencja, przedewszystkiem zaś młodzież uniwersytecka za jego w znacznej mierze przykładem rzuciła się z zapamiętałością do pracy nad ludem. Głodzony, pozbawiony praw, obłożony podatkami, trzymany rozmyślnie w ciemnocie rosyjski chłop stawał w apoteozie męczeńskiej. Ludzie inteligentni, wykształceni, wyrzekali się widoków własnej przyszłości, porzucali naukę, wyzuwali się z przywyknień i potrzeb natural-

nych, a wdziawszy siermięgę chłopa, brali pług lub motykę do ręki i szli pracować ramię przy ramieniu z ciemnym, stopniowo w coraz głębszą nędzę spychanym chłopem. Żywiąc się jego czarnym, z piaskiem i otrębami chlebem, podawali mu chleb wiedzy, otwierali mu oczy na jego w państwie położenie. Ruch pod hasłem „do ludu“ szedł szeroką ławą. Rządowe represalja, samowola administracji, obostrzona cenzura — cały ten złożony aparat moralnej niewoli, zarzucający pęta na wszelką żywszą myśl tembardziej egzaltowały i do niezwyczajnych granic podnosiły umysły ludzi, mających czystsze i szlachetniejsze popędy. Był to zupełnie naturalny odpór długo gnębionego ducha narodu, a wydał takich poważnych pracowników pióra jak: Czernyszewskij, Sałtyków, Hercen, wreszcie sam autor książki.

Niedługo jednak wszyscy ci działacze i rzecznicy sprawy ludowej doszli do przekonania, że w Rosji drogą dozwoloną i drogą usiłowań prywatnych nic osięgnąć się nie daje; pozostaje tylko jedna — zwarta, silnie zorganizowana, szeroko rozrzucona praca **podziemna** rewolucji. O ile sam autor brał w niej udział, o tem książka nie mówi — z przyczyn aż nadto zrozumiałych.

W czasie swego wygnania spotykał się Flerowskij niejednokrotnie z polskimi wygnańcami. Oprócz częstych wzmianek, tu i ówdzie rozsianych poświęca autor sprawie polskiej i jej pracownikom obszerny rozdział swego dzieła. Jeśli krzywda i poniżenie nawpółbarbarzyńskiego ludu Rosji wywołuje w autorze szczere i bolesne oburzenie, to widok narodu, posiadającego długowiekową kulturę, swobody, nauki, sztuki, a ujarzmionego dziką stopą despoty, nieliczącego się z prawem i pozbawionego zgoła pojęć humanitarnych, musiał wywołać w szlachetnym umyśle wrażenie wstrząsające. Szukając dobitniejszego obrazu dla swych uczuć, autor porównuje Polskę do starożytnej Grecji, która w rozkwicie kultury musiała paść pod przemocą rzymskiego najezdcy, wnet jednak cofa to porównanie, a to przez wzgląd na rolę, jaką w tej sprawie odegrał własny jego naród. Rzym, opanowawszy Grecję, przejął od niej zdobycze jej cywilizacji, jej kulturę, jej nauki i sztukę, owładnąwszy nią, sam się podniósł na wyższy stopień obyczajów i społecznego rozwoju. Lecz Rosja nie zdobyła się na to. Rosja zaborem wolnego narodu upodliła siebie. „Grecy — mówi — ginąc, dali coś gnębicielom swoim, a Rosjanie obrawszy was z uniwersytetów, bibliotek, dzieł sztuki, okryli się tylko korą zdziczałości, która narasta na każdym złoczyńcy.“

Sonet.

Sercem, pełnem zapału i czystej miłości,
Ty świat ten obejmujesz zepsuty i stary,
Pragniesz wznieść w nim ideał prawdy, cnoty, wiary,
Pragniesz sam się poświęcić dla szczęścia ludzkości!

* * *

Lecz gdyby się naprawdę ziścił sen twój złoty:
Gdy ludzie się już złączą w braterskiem przymierzu,
Gdy światu już zabłyśnie światło prawdy, cnoty,
Czy wówczas będziesz szczęśliw, ty, prawdy szermierzu?

* * *

Wśród ogólnego szczęścia, ciszy, bezpieczeństwa
Ty jeden znów zapragniesz walki i męczeństwa
I zatęsknisz do wspomnień, choć wspomnienie boli...
Boś ty zrósł się z tęsknotą, złej doli wybraniec,
Boś ty ból swój ukochał, jak smutny wygnaniec
Kocha ziemię wygnania po latach niedoli...

Irena Jawic.

12)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Jakoś w ostatnich dniach września, około godziny 10-tej wieczorem, Grzegorz, lokaj w liberji szaraczkowej z zielonemi wyłogami i guzikami złoconemi, szedł po nad stawem i zatrzymał się przy jednym z białych domków w pobliżu kaplicy. Przez chwilę stał pod oknem, nasłuchywał, a do uszu jego dochodziło z wewnątrz głośne chrapanie.

W tym domku mieszkał strzelec Malwa, który właśnie co tylko wrócił z polowania, padł na posłanie i zasnął.

Grzegorz uśmiechnął się do siebie i mruknął:

— Będzie mu nie na rękę, śpi twardo!

I zaczął bębnić palcami po szybie, najprzód lekko, potem coraz silniej, a nareszcie walił pięścią w ramę okna i wołał:

— Panie strzelec! Panie Jakóbie!

Musiał się dobrze dobijać, podnosić głos, zanim posłyszał z izdebki odpowiedź:

— A czego tam? Nie dobijać się! Przeciem ja nie głuchy!

Strzelec dobrze słyszał już pierwsze słowa Grzegorza, ale nie lubił dworskich lokajów i zawsze od nich stronił: „Drwiarze, wyśmiewcy, natrząsają się tylko z człowieka!“

Grzegorz, choć mu Malwa dał już odpowiedź, uderzył jeszcze trzy razy pięścią w ramę okna, a potem, rozdzielając sylaby, mówił dobitnym głosem:

— Goście zjechali do pałacu — dużo gości!...

— To i cóż? Wielka nowina! pewnie chcą jutro polować? Dobrze! — odrzekł strzelec piszczącym głosikiem.

— Nie o polowanie chodzi! Zwierzyny na stół potrzeba — dużo zwierzyny!

— Kiedy dużo gości, to i zwierzyny dużo... Będzie! — odmruknął Malwa.

Ale lokaj i po tem upewnieniu nie odchodził, widocznie chciał się przekomarzać ze strzelcem i — zawsze donośnym głosem — mówił w dalszym ciągu:

— Panie strzelec, proszę tu do okna!

— No dobrze, dobrze! Będzie!...

— Koniecznie proszę do okna! Ważny interes...

— Sekret jaki?

— A jakże, sekret!

— Utrapienie z sekretami po nocy!

Teraz Grzegorz słyszał, jak Malwa sapał, gramolił się z pościeli, a po chwili stanęła przy oknie postać, mała, rozczochrana, drapiąca się w plecy i głowę.

— O cóż chodzi? — zapytał strzelec dosyć szorstko.

— Trzeba, żeby zwierzyna była porządna! Buliony, auszpiki będą robili... Kuropatwy, koniecznie kuropatwy być muszą... Zajęcy sztuk z dziesięć, z tuzin i więcej...

Żachnął się na to mały człowieczek w oknie, odskoczył i zniknął w cieniach izby, mrucząc: „Sekrety takie!“

A. Grzegorz wołał:

— Jeszcze nie wszystko, panie strzelec! Kwiczoły na stół być muszą...

— Uhu, kwiczoły! — Trzeba je naprzód stworzyć!

Po tych słowach dał się słyszeć łoskot ciężaru padającego na posłanie z mrukiem: „Do okna człowieka po to wołać...“

— Panie Jakubie — uprzykrzał się natrętnie Grzegorz — panicz kazał przypomnieć, żeby wystrzelać te psy, co po polach za zającami gonią.

— Gorsi od tych psów są ludzie, którzy takie psy chowają, a żyją — rzekł strzelec popędliwie.

— Aa, pięknie, panie Malwa! Nigdym nie myślał, żeby człowiek pobożny, chrześcijanin, tak nabluźnił językiem! Trzeba się z tego wyspowiadać.

Lokaj widocznie ugodził teraz w słabą stronę, gdyż Malwa poskoczył co tchu do okna, prawie się położył na szybie i z wielkim niepokojem zapytał:

— Co, co, co? Co ja powiedziałem?

— Powiedziałeś pan, że ludzie, którzy trzymają psy zwleczone, są od psów gorsi... Tymczasem Burek jest pies plebański.

— A bodajże mi język zaraz odpadł!

— Powinien odpaść, bo go Pan Bóg nie na bluźnierstwa dał człowiekowi! Trzeba się dobrze nad tem zastanowić, panie Malwa, zrobić rachunek sumienia, iść do spowiedzi... Wstyd, wstyd dla katolika takie rzeczy mówić!

— Człowiek grzeszny, wysunęło się z głupiej gęby — mówił żałosnym głosem strzelec, a Grzegorz uszczęśliwiony, że narobił Malwie zmartwienia, podążył ku pałacowi.

Po odejściu lokaja, strzelec, niezmiernie podrażniony, z boku na bok się przewracał, powtarzając w duszy: „Obudzą człowieka i wodzą na pokuszenie... Mieli rozum ci święci Pańscy, którzy na puszczę uciekali od świata“.

Strzelec popadł w ów stan, co to człowiek niby czuwa, a majaczy i senne widziadła go trapią. Zaczął od rozmyślań, jak trudno jest wśród ludzi uniknąć grzechu; poszedł niebawem do psa plebańskiego i widział Burka z klockiem u szyi, harcującego w polach za zającami. — Opadły go teraz tłumy zajęcy, kicających, pomykających, stawających słupka, dotrzymują-

cych w kotlinach, a wszystkie prosiły: „Panie Malwa, zabij Burka, psa plebańskiego!“

Naraz, niewiadomo zkąd się wziął w marzeniu wierny pies jego, Cymbał, który zdechł już dosyć dawno i teraz wyszczekał wyraźnie te słowa;

— Burka, psa plebańskiego, nie można zabijać!

— Skoro nieboszczyk mój Cymbał tak powiada, to już go usłucham, pomyślał sobie strzelec i wystrzelił między zające, które pierzchły na wszystkie strony. Następowały potem obrazy, poplątane i bez żadnego związku: kucharz, wschodzący księżyc, anioł w białej komży i ze skrzydłami, Marysia Teterzanka, zajadająca plaster miodu. Wpatrzył się w ten ostatni obraz i usnął.

Zaspał.

Był już ogromny dzień, kiedy strzelec przetarł oczy, ziewnął, zrobił znak krzyża świętego i ucałował ziemię przed łóżkiem, nad którem widniał przylepiony do ściany barwny obrazek Zbawiciela w koronie cierniowej. Uklęknął, odmówił pacierz głośno i znowu ucałował podłogę. Powstał, zaczął opatrywać dubeltówkę: przedmuchał obie lufy, nabił, włożył do torby kawał czarnego chleba, flaszkę z gorzałką, na wychodnem jeszcze się przeżegnał, nacisnął na oczy kaszkiet i wyszedł. Zaraz na drodze westchnął: przypomniał sobie, że mu się przyśnił dzisiaj Cymbał.

— Szkoda, mądry, dobry był psina!

Westchnął znowu, gdyż teraz za psa i za siebie musiał pracować.

Nizki, skulony, toczył się ku wsi drobniutkim kroczkiem, trzymając pod pachą dubeltówkę, a z pod kołtuniastej czupryny zaledwie znać było szczuplutką, poczerniałą twarz, ożywioną przez czarne, zezowate oczka. Zimny, jesienny ranek kąpał się w rosie, a płachty mgły wisiały po nad łąkami, lasami. Właśnie pasterze wypędzali ze wsi bydło w pole, a jeden z nich spostrzegł przemykającego się chyłkiem Malwę i krzyknął:

— Mysi król idzie!

Nadbiegli inni, wołali na wszystkie strony:

— Mysi król! Mysi król!

Strzelec przyspieszył kroku, chciał się jaknajprędzej wyrwać, uciec od natrętnych krzykaczy, którzy teraz natarczywie za nim biegli, trzaskali biczami i krzyczeli:

— Mysi król!

Pochylił się ku ziemi, udając, że bryłę błota w swej obronie podnosi. Swawolnicy przystanęli, a on tymczasem w derdy uchodził. Jeszcze poskoczyli za nim z okrzykiem:

— Mysi król!

Teraz z oddalenia złożył się do nich strzelbą, ażeby nastraszyź malców. Ale przed jedną przydrożną chatą stała jakaś baba i ta rozpuściła język:

— Widzicie go, jaki to pogan! Do dzieci ze strzelby celuje... A nie wieszże ty tego, ladaco, że to jest grzech ciężki?

Malwa się przestraszył i jeszcze bardziej przyśpieszył kroku.

— Jużci kobieta prawdę mówi: nie godzi się mierzyć strzelby do człowieka — bliźni!

Odetchnął, bo już wyszedł za wieś na pole. Uśmiechnął się sam do siebie, gdyż mu dziwna myśl przyszła do głowy: „Coby to było, gdyby tak dubeltówkę nabić miałkim pieprzem i dopiero kropnąć z tyłu do tych małych psotników? Oj, narobiłoby to wrzasku; pieprz pewnieby ich żarł, palił. Wnet atoli spoważniał, gdyż sobie wspomniał, że taki żart byłby też grzechem, a grzechu strzedz się trzeba w mowie, myśli i uczynku. Jak raz zgrzeszył teraz myślą.

Wtem spostrzegł jastrzębia, który siedział na kamieniu, wodząc wokoło oczyma, ptak ogromny, kuropatwiarz. Malwa przyczaił się, przychylił, podchodził, a jastrząb siedział, patrzał zdziwionym wrokiem, jak gdyby nie mógł pojąć, co za stworzenie widzi przed sobą: cielę, kozła, czy człowieka. Jeszcze się dziwić nie przestał, kiedy strzelec już do niego wypalił: „bach, bach!“ Ptak usiłował wznieść się na skrzydłach, podskoczył, upadł i, brocząc krwią, bijąc o ziemię skrzydłami, stoczył się w bruzdę, aby skonać. Ale na huk strzałów, prawie jednocześnie, wyrwał się z kotliny zając i o jakich trzydzieści kroków przystanął naprzeciwko Malwy.

Niezwykłe zjawisko miał strzelec przed oczyma: szaraka bez słuchów, „zwierzę naznaczone w Bożej oborze“. — „Gdybym nie był wystrzelił do jastrzębia“... — tu się zastanowił, bo „możeby nie należało strzelać do takiego kota, który chyba jeden na całym świecie niema słuchów“.

„Na stół potrzebują dużo, dużo zwierzyny!“ Mruknął: nabił strzelbę i poszedł dalej. Idzie, rozgląda się i myśli: — „O zakład, że kot siedzi tu w ugorze!... A jakże, jest tam, o jakie sześćdziesiąt kroków od miedzy!... Oo, dziś widać zające dotrzymują!“ Podszedł bardzo blizko, będzie miał strzał pewniusieńki, wymierzył, a tu — „prztyk, prztyk“. — „Niechże cię sęk trzaśnie! Zapomniałem na śmierć nałożyć pistonów!.. Psia kostka, tamten zając bez słuchów zauroczył, czy co!... Oho, nie będzie dzisiaj szczęścia! A tu na stół potrzeba dużo, dużo zwierzyny“. Pocieszyła go myśl, że ten zastrzelony jastrząb mógłby wyjeść przez zimę niejedno stado kuropatw, sporo zajęcy, a tak już nie żyje.

Było południe, Malwa ciągle łaził po polach bez posiłku i bez szczęścia. „Czy ja aby z uwagą odmawiałem pacierz dziś rano?“ Zaczął o tem rozmyślać, ale nie mógł sobie przy-

pomnieć, czy jakie światowe myśli zamącały mu poranną modlitwę.

Usiadł na miedzy, gryzł suchy kawałek chleba, a był jakiś markotny, wydawało mu się, że go wewnątrz coś tak samo gryzie, jak on ten kawał chleba. Złych myśli nie mógł od siebie odpędzić. Ciągle teraz bywał taki nieswój od czasu, jak wszedł w stosunki z bratem Teterą. To sumienie tak go nękało, skrzeczało w nim nieustannie: „Ej, Malwo - Zabłotniku, twój brat cię na manowce prowadzi! Przed Panem Bogiem już ty nie jesteś ten sam Kuba, czysty jak kryształ!... Brat zaś oduczy cię jeszcze i do kościoła chodzić, staniesz się plugawem, grzesznem cielskiem z duszą, skazaną do piekła na wieczne męczarnie.“ I teraz oto jadł chleb, a głos sumienia słyszał w głębi duszy. Chciał w siebie wmówić, że to jest co innego: „O Jezu Chryste, jakże mię też bolą nożyska! Zupełnie jakby w nie ołowiu nalał“. A głos wewnętrzny odpowiedział: „Łżesz, to nie nożyska, jeno grzechy cię trapią“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LILI.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy).

— A możebyście panowie herbaty tego i owego, wódeczki? Proszę bardzo, jak u siebie w domu! Franka! Maryna! A pódzie tu która! — huknął dziedzic, uchylając drzwi. — Bo to, panie, kobiety szykują się do kościoła. — Maryna! szturmaku jeden, a ruszajno się i nalej panom herbaty, a żywo! — krzyczał do rozrosłej, czerwonej i bosej dziewki, która się wsunęła do pokoju, pochyliła się do kolan, pocałowała gości w ręce, ujmując je przez zapaskę i nalewała herbatę.

Dziedzic poprzysuwał im różne wiejskie specjały, przepił do nich wódką i rzekł:

— Zaraz wrócę; spytam się żony, czy będziemy mieli we czwartek czas.

— Co pan wygadujesz! ja się spalę ze wstydu! Po co ta blaga! — szeptał cicho Zakrzewski po wyjściu dziedzica.

— Boś pan zielony frajer! W inny sposób bym go nie „skantował“. Jakbym go nie wziął pod żebro, toby przez jakiego Maćka powiedział, że niema go w domu! Już ja ich znam; pozwól mi pan działać — odpowiedział Korczewski najspokojniej i z wielkim apetytem zajadając.

— Proszę o sześć biletów w pierwszym rzędzie — odezwał się dziedzic, wchodząc i podając papierek dziesięciorublowy.

Korczewski z pośpiechem pieniądze wziął, bilety dał i dziękował.

— Uniżenie dziękuję! Serdecznie jesteśmy wdzięczni za poparcie naszego teatru i za naddatek! Mój Boże, żeby tak wszyscy rozumieli sztukę i jej posłannictwo, jak szanowny pan dobrodziej, to jej kapłani nie chodziliby w podartych butach! Bardzo dziękujemy za prawdziwie polską gościnność! Chodźmy, kolego, bo furman zmarznie nam. Polecamy się pamięci. Pani dobrodziejce całujemy rączki, panienkom nasze uszanowanie!

Wyszli. Zakrzewski z werandy obejrzał się; szlachcic stał w tej samej zdumionej postawie, z biletami w garści.

— Świetny początek! Sprzedaliśmy sześć biletów, mamy dwa ruble naddatku, zjedliśmy śniadanie!

— Obywatelu, a gdzie to droga do Drozdowa? — zawołał na parobczaka, który z za węgła im się przyglądał.

— A dyć w podle dwora do łąk, a potem z prawej ręki i już!

— Bóg zapłać! Bardzo piękny dzień!

Nie wrócili na drogę, lecz poszli przez ogród ścieżką, wijącą się przez łąki, do sąsiedniego dworu, oddalonego o wiorst kilka. Łąki były bagniste, pełne oparzelisk, dymiących oparami. Szli bardzo ostrożnie, bo ziemia się uginała pod nogami, a miejscami wpadali w kałuże wody, warstwą śniegu przykrytej. Cały system rowów przecinał im drogę i utrudniał, bo trzeba było z całą ostrożnością prześlizgiwać się po ledwie ściętych lodach, lub przeskakiwać przez niezamarznięte bajory, pokryte rudawką. Zakrzewski, człowiek wsi, robił to bez trudności, ale Korczewski klął, jęczał, namyślał się, obchodził niebezpieczne miejsca, aż się wreszcie w jakiemś słabem miejscu załamał i wpadł w bagno do kolan, krzycząc w niebogłosy, że się topi. Musiał go Leon wyciągać.

— Psiakrew takie porządki! Do kryminału bym wsadził właściciela za takie pułapki; ależ żebym był sam, utopiłbym się na pewno! — wyrzekł, wycierając zabłocenie śniegiem.

— Daj pan spokój, bo to są bagna i łąki, a nie gościniec publiczny. Chodź pan prędzej, to odmarzniesz.

Korczewski przestraszony biegł prawie galopem, bo dolne ubranie sztywniało mu od mrozu i w butach miał pełno wody.

Dobiegli do dworu i chcieli wejść do sieni, ale była zamknięta; dopiero po wielu stukaniach zjawił się służący, obrzucił podejrzliwem spojrzeniem i zapytał:

— Co za interes i do kogo?

— Do dziedzica. Wpuść no, bracie, bo widzisz, stało mi się nieszczęście, wpadłem do wody.

— Nie można! Niech idzie do oficyny się osuszyć — mówił pogardliwie lokaj, zapierając drzwi sobą.

— Antek, a co się tam dzieje? Co to za ludzie? czego chcą? — pytał ktoś, wychylając głowę lufcikiem.

— Panie dziedzicu, interes wyłuszczymy, ale proszę nas wpuścić, bo mnie stał się wypadek, wpadłem w rów, jestem zmoczony; chciałbym się trochę wysuszyć, drżę z zimna — jęczał aktor.

— Co za interes?—zapytała głowa z lufcika, puszczając kłąb dymu.

— Jesteśmy artyści dramatyczni. Ale na miłość Boską, bo zmarznę!

— Aktorzy! Niech pan Bóg opatrzy! Antek zaprowadź ich do kuchni — rozległ się raz jeszcze głos i głowa zniknęła, a lufcik z trzaskiem się zamknął.

Poszli do kuchni, w której gotowano dla inwentarza. Zakrzewski całą siłą woli tłumił gniew w sobie. ale milczeć i pozostać musiał, bo Korczewski mógł się przeziębić i zachorować.

W tej kuchni, mieszczącej się w starym gmachu po gorzelni, przesiedzieli z godzinę, susząc się, i dopiero, gdy się znaleźli za wsią na wąskiej polnej dróżce, prowadzącej do drugiego dworu, widnego z daleka wysoką wieżą, Korczewski odzyskał nieco humoru.

— Przeschłem niezgorzej — rzekł Korczewski — ale jeszcze mi mokro! Co, ładny numer ten obywatel? Niech go drzwi ścisną. — „Czy widzisz na tym stole butelek pełen kosz“ — huknął dalej barytonem, aż rozległo po polach i kilka wron siedzących na przydrożnych drzewach zerwało się z krzykiem. — Jedna wódka mocna i duża, jedno mięso duże, jedno piwo duże; na poprawkę jeszcze wódka i jeszcze mięso, no i piwko na drugą nogę! Żeby mi to kto postawił teraz, byłby dobrym chrześcijaninem.

— Ale pieszo to my niewiele zrobimy drogi, dwunasta dochodzi.

— Mój królu złoty, żebyśmy sprzedali w tym dworze ze cztery bileciki, to już ci zafunduję karetę o dwudziestu czterech oknach.

— Kto tu mieszka?

— Aha, jakiś Kuczborski! Fiu, fiu! „Na Kuczborsku pan Kuczborski, wdowiec, trzy córki w domu, dwie guwernantki, długów dosyć, bardzo hojny, pisuje do gazet, oryginał.“ — Ładny numer. — Mokro mi jeszcze, panie Leonie.

Zakrzewski nic nie odpowiedział. Myślał o Lili, a zresztą zapadł w stan ostrej apatji. — Było mu już wszystko jedno, i to tak zupełnie, że, gdy weszli w bramy Kuczborska i psy opadły ich całą zgrają i zaczęły zajadle docierać, wlazł na płot i śmiał się z Korczewskiego, który stał i krzyczał na ludzi, żeby go przyszli ratować.

Jakoż służba pospiesznie ich oswobodziła i dostawiła do pałacu, przed oblicze pańskie.

Pan domu, wysoki, suchy, kanciasty, z wielkiemi bokobrodami szpakowatemi, z miną lorda lub szwajcara z wielkiego domu, przyjął ich skinieniem głowy, nie wyjmując rąk z kieszeni.

Korczewski przedstawił siebie i towarzysza, wyłuszczył cel przybycia, ale przedewszystkiem przyznał się do zamoknięcia, opowiedział złośliwie przyjęcie w sąsiednim dworze i prosił o samotności nieco, pusty pokój i ogień w piecu.

Gospodarz zmusił drewnianą twarz do zimnego uśmiechu i oddał go w ręce lokaja. — Zakrzewskiemu zaś przysunął papierosy i chodził po pokoju, wyglądając co chwila oknami.

Milczenie zaległo głębokie. Po kilkakroć Leon zaczynał mówić, ale w miejsce odpowiedzi widział zawsze ten zimny, ostry uśmiech, jednostajny ruch palców rozczesujących bokobrody i martwe jasne oczy, podobne do rybich, wpatrzone w okno. Więc żeby przerwać nieco nudę, usiadł do otwartego, wspaniałego fortepianu i wziął kilka akordów.

Kuczborski wolno i najspokojniej podszedł, zamykając mu fortepian pod nosem i powracając do dawnej przechadzki po pokoju. Leon się zerwał i groźnie spojrzał; ale znowu zobaczył ten sam uśmiech, ruch palców i martwe oczy, więc usiadł w jakimś fotelu przy stole środkowym i zaczął oglądać wspaniałe albumy malarzów holenderskich.

— Przepraszam — szepnął Kuczborski — wyciągnął z pod niego fotel, pchnął go pod okno, podsuwając natomiast proste trzcinowe krzesełko; albumy zamknął i przeniósł je na drugi stół, a w miejsce ich położył przed zdumionym kilka numerów dzienników i stos fotografji obrazów współczesnych i, jakby nie widząc oburzenia Leona, usiadł przy małym stoliku pod oknem, wziął lupę i zaczął z największą uwagą przyglądać się jakiemuś sztychowi.

Leon już się nie ruszał na krześle; przypatrywał się tylko ciekawie Kuczborskiemu i pokojowi, który był zastawiony bibliotecznemi szafami i półkami, pełnemi flaszek, chomąt, szorów, starego żelastwa i modeli narzędzi rolniczych. Na ścianach obok wspaniałych sztychów, wisiały plany płodozmianów, broń myśliwska, cały komplet batów i malowane ogrodowizny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pism i książek.

Hauptmanna „Dzwon zatopiony“ w przekładzie Jana Kasprowicza wyszedł w dość ładnem książkowem wydaniu nakładem Władysława Okręta w Warszawie. Śliczna baśń, dla sceny stworzona, nic a nic nie traci w czytaniu, — pod pewnemi względami nawet wygrywa. Czytelnik, — uważniejszy od widza, bardziej niż tamten skupiony, — dostrzega w niej przy badawczem świetle swej lampy wieczornej i to, co się wymyka uwadze na scenie, — głębiej może wniknąć w myśl autora, lepiej ocenić zalety przekładu. A tych ostatnich jest nie mało. Hauptmann znalazł w naszym poecie tłumacza, który dzieło jego przyoblekł w tak piękną, jak i sam twórca, szatę. — „I ten cudowny dzwon... dzwon grający“, przemawia szczerozłotym językiem prawdziwej poezji do polskich czytelników, którym się zdaje, że widzą i słyszą, jako zatopiony

„w głębinach jeziora dzwon leży na dnie,
w żwir, w głazy zaryty,
i rwie się w niebieskie błękity,
ku gwiazdom, ku słońcu się rwie!
Rybkami zalewa go fala“,
wodnika „najmłodsza córeczka-pieszczocha
troskliwie okrąża go zdala,
i nieraz, rozwiawszy zielone swe włosy,
wsłuchana w dzwonu odgłosy,
jęczy na głębiach i szlocha...
bo z dzwonu płynie tak dziwny zew,
jakby dzwon w ustach miał krew...
„Bim — bam!“ jęczy dzwon,
jakby w nim chował się skon!

Jęczy żałośnie i pogrzebowo i łkająco, bo sercem jego uderza nie silna, życiem drgająca dłoń, — sercem jego uderzają trupie dłonie zmarłej z rozpaczy niewiasty..

St. Rossowski: „Moja córka“. Lwów, księgarnia H. Altenberga 1898.

Powieść, w nagłówku wymieniona, da się nietylko łokciem literackim wymierzyć, lecz można w niej nawet palcem wskazać osoby i motywa, które autorowi służyły za model. Rzecz bowiem rozgrywa się w półświatku dziennikarskim, a redakcja jednego z codziennych pism lwowskich dostarczyła żywych barw palecie autora. — Pogodna, miękka, na wszystko co piękne i dobre wrażliwa natura Rossowskiego, ujęła przedmiot swój — rzecz to znamienna — z humorystycznego stanowiska. Począwszy od zewnętrznego wyglądu tej pretensjonalnej rzeszy, a skończywszy na śmiałem wystąpieniu redaktora „Chwili“ przeciw gospodarce jednej z najświetniejszych instytucji finansowych w kraju (przyczem pismo to zrobiło „interes“, dzięki wywołanej z powodu tego wrzawie), cały ten hałaśliwy kantor gazeciarski wywołuje jeno uśmiech pobłażliwości lub pożałowania na ustach samego redaktora. — Charakterystyka dziennikarska, aczkolwiek ślizga się czasem po powierzchni, nie pozbawiona jest subtelnej obserwacji w szczegółach. Oto jak się np. załamuje sylwetka dziennikarzy przez pryzmat macierzystego serca, niechęcią drgającego do owych „ptaków niebieskich“: „Są to ludzie rozmiłowani w skrajnościach. Mają pomysły bardziej oryginalne, niż rozsądne. Jak piechury Napoleona, noszący w torbie buławę marszałka, rodzą się już sędziami ludzi i ludów, z rękawa sypiąc bez zająknienia wyroki. Rozkiełzanej swobodzie języków odpowiadać się zdaje... swoboda... obuwia...“

Na tem zlekka, ale wprawną ręką podmalowanem tle życia naszej drużyny Apolinowej, zarysowuje się iście mistrzowski portret matki. Ulegając woli zakochanej córki z ciężkiem sercem zezwoliła na małżeństwo jej z dziennikarzem, ale się w nowem położeniu znaleść nie może. Zaraz po ślubie zapomina, że straciła już wyłączne prawo do pieszczot swej dzieciny i że to prawo przeszło już na zięcia, pozostawiając jej tylko okruchy uczuć. — Przed nami rozwija się misternie wykończony obraz „matki na emeryturze“. Jeszcze nie jest tak starą, aby uważać się za liść suchy, który, oderwany od gałązki, skazany jest na zamiatanie ulicy. Z lubością przywodząc na pamięć znoje i kłopoty matki, rwie się do dawnego zawodu, którego drzwi przed nią zamknięto. Co więcej, ona, przedstawicielka porządku, systematyczka, co w kąciku poiła się marzeniami, że jej ukochana Halszka zostanie co najmniej żoną profesora o złotym kołnierzu, patrzyć musi jak mlekiem jej piersi wykarmiona i we łzach jej wykąpana córka, oddawszy rękę „szaławile bez urzędu i stanowiska“, stacza się w jej oczach w przepaść. Żywiła się potem nadzieją, że powoli, ostrożnie działając, zdoła oboje nagiąć i na swoją stronę przyciągnąć. Po niewczasie spostrzegła jednak, że się w swej rachubie omyliła. Przeciwnie, sama popchnięta przez młodą parę, dostała się na bystre fale życia dziennikarskiego, które unoszą ją coraz dalej od owej cichej przystani, świecącej w jej głowie promiennym blaskiem.— Na oba światy, tysiącznemi niémi ze sobą splecione, na ciepłe gniazdo domowe i na burzliwe rozłogi społeczne rozkłada poeta w równej mierze światła i cienie. Z natury jednak swego talentu przychyla się bardziej ku owym cienym sferom rodzinnym, na które zlewa cały urok swego wytwornego pędzla. *H. B.*

„Światło“, miesięcznik poświęcony fotografji i sztuce reprodukcyjnej, zaczyna wychodzić w Warszawie pod redakcją znanego przyrodnika J. J. Boguskiego. Nowe pismo badać będzie prawa fotochemji, to jest wszelkie sposoby utrwalania obrazów za pomocą promieni światła, owej „słonecznej dziatwy“ — jak ją nazywa Mickiewicz. Redakcja zapowiada niemniej, że w miarę środków, jakich prenumerata pisma dostarczy, dawać będzie „w illustracyjnej części pisma to, co ze względów społecznych lub artystycznych będzie godnem zanotowania“, uwzględniając w pierwszym rzędzie dzieła polskich malarzy i rzeźbiarzy.

„Moniuszko dla młodzieży“. W łatwym układzie na fortepian opuściły prasę w opracowaniu Zygmunta Noskowskiego najpiękniejsze piosenki naszego mistrza tonów. Pierwszy, łatwiejszy zeszyt tych popularyzacji zawiera: 1) Piosenkę żołnierza, 2) Kuma i kumę) 3) Starego hulakę. W drugim, trudniejszym, mieszczą się: 1) Skowronek, 2) Czy powróci, 3) Sprawiedliwość Zosi, 4) Mazurek.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie, Akademicka 16.